

Jadąc do starca zamordowanego na rogu Radości i Przekrwionych Mięśni, pomyślałem, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów. [...]

Odnalezienie sprawcy nie zajęło nam wiele czasu. Gdy wyjechaliśmy na rondo, z którego widać było kilka bloków mieszkalnych, spożywczy market i szkołę, Przester od razu skierował się w stronę liceum. Zasada brzytwy Ockhama: jeśli ktoś czyni zło, to najpewniej młodzieniec. Zaparkowaliśmy przy chodniku, specjalnie się nie kryjąc; radiowóz był nieoznakowany, a my wyglądaliśmy zwyczajnie, jak para niedopasowanych gejów – jeden modniś, choć męski i zdecydowany w ruchach, drugi nieśmiały, wycofany, sprawiający wrażenie pasywnego w seksie nerda.

Palili papierosy za szkolnym murem, chroniąc się za potężnym pnem wyschniętego drzewa i kontenerem na odpadki. Dziewczyna zareagowała całkowitym spokojem, jakby spodziewała się wpadki; wywołało to we mnie silne podejrzenia, ale nie byłem w stanie jej p r z e c z y t a ć. Za bardzo absorbowały mnie emocje chłopaka, a ona nie generowała właściwie żadnych zaburzeń. Uznałem, że to jakiś narkotyk. Tymczasem Przester powoli skanował jej nadgarstek; wyświetlony hologram ukazywał ogromną, trzypiętrową willę z ogrodem w stylu angielskim. To wyjaśniało sprawę. Należała do zamożnej, stabilnej klasy, do kruchej warstwy fundującej to społeczeństwo, zapewniającej resztki spokoju i punkt odniesienia dla armii l u z e r ó w, i jeszcze liczniejszego morza m a r z y c i e l i. Musieliśmy ją wypuścić, zresztą było nam to na rękę; zawsze lepiej rozbić zakochaną parę przestępców, samotni radzą sobie znacznie gorzej. Chłopak i bez tego był przerażony, ale dzielnie starał się trzymać s t y l. Imponowała mi jego klasa. Przester pogardliwie komentował skromne mieszkanko w bloku i mopedy piaskowe, wyświetlone na hologramie, groził mu aresztem, a Gijom – tak miał na imię – spokojnie, z pochyloną głową, przeproszał za sprawienie kłopotu i zapewniał, że to absolutnie pierwszy raz. Nie okazywał lęku, nie błagał o litość, nie zachowywał się jak przyparte do muru, zaszczute zwierzę; tak postąpiłoby na jego miejscu wielu rówieśników w innych czasach, w realiach innych kultur. Nie był też agresywny, choć drobne zarodki strachu i agresji tliły się gdzieś w gnieździe jego osobowości. Maskował je znakomicie, trzymał się prosto, patrzył w oczy; mógłby uczyć s t y l u niejednego przedstawiciela wyższej klasy...

– Znalazłem te papierosy – mówił. – Na naszym osiedlu wiele osób pali... Zresztą wie pan, Ursynów nie jest bezpieczny.

– Znalazłeś? Tak sobie leżały? Masz mnie za idiotę? Czy masz mnie za debila, pytam?

Przester podnosił głos, a chłopak, mimo że wyraźnie przestraszony, wciąż zachowywał twarz. Przełknął ślinę i odpowiadał najuprzejmiej, jak tylko umiał. Naprawdę znalazł papierosy na trawniku, w pobliżu baru

motocyklowego. Chciał spróbować, bo nigdy wcześniej nie palił. Dziewczyna już dawno wpadła mu w oko, dotąd nie miał szans z powodu dystansu klasowego, pomyślał, że to jego szansa. Że jej zaimponuje. Rozumiałem go.

– No i widzisz, nawet nie poruchałeś – mówił Przester. – Wiesz, ile ci grozi? Do pięciu lat. Do pięciu lat durnego życia, za te dwie niedopalone fajki. Albo i więcej, bo przecież widzę, że białoruskie. Więc z przemytu. A przemyt nielegalnej substancji to będzie do piętnastu.

– Proszę... – wyszeptał chłopak. – Wiem, że popełniłem poważny błąd. Mogę go naprawić, proszę tylko wskazać sposób. Proszę mnie pouczyć chociaż, może jakieś prace społeczne...

Widziałem, że traci już opanowanie, że mięśnie twarzy zaczynają falować, pchnięte wyładowaniem emocji, że rogówka oka staje się bardziej wilgotna, uderzył mnie wreszcie jego straszliwy smutek, jego szczerzy, niepowstrzymany strach. Zachwiałem się i wciągnąłem głęboko powietrze – z e t k n ę l i ś m y się mocno, tak jak od dawna nie zetknąłem się z żadnym podejrzanym. Musiałem pomóc.

– Kolego komisarzu, może odpuścimy chłopakowi. Nienotowany, widać że ogarnięty... Po co ma się zmarnować. Może trochę p o w a b u?

Przester odtrącił moją wyciągniętą dłoń.

– Komisarzu Kronos, proszę nie częstować podejrzanego. Zresztą dlaczego proponuje pan rozwiązania niezgodne z prawem? Procedura jest jasna: złoczyńcę przyłapanego na gorącym uczynku należy odwieźć na komisariat...

– Ale przecież czasem odstępujemy od tej zasady.

– Myśli pan o sytuacji, w której złoczyńca staje się dla nas... przydatny?

– Tak. Kiedy ma oczy po obu stronach głowy, kiedy nadstawia uszu, kiedy co tydzień melduje nam, co dzieje się na osiedlu, zwłaszcza w kręgach posiadaczy białoruskich papierosów... Jeśli robi to regularnie, jeśli mówi całą prawdę, zapominamy o jego przewinieniu... nigdy nie trafia za kratki!

Kiedy wsiadaliśmy do radiowozu byłem szczęśliwy. Szczęściem chłopaka, rzecz jasna. Moje emocje, skompresowane pod ciśnieniem uczuć podejrzanego, rozplynęły się w sennym strumieniu p o w a b u. Jechaliśmy szybko, sprawnie wymijając nieliczne auta. Budynki stawały się coraz starsze, coraz bardziej szare. Mniej było płotów, aż w końcu całkiem znikły, pozostawiając nienaruszoną strukturę ulicy, odsłoniętą bezwstydnie, porzuconą. Śródmieście – dzielnica s t a r i k ó w i nielicznych młodych bezrobotnych – największy z ropni na owrzodzonym ciele stolicy.

Miejsce zbrodni mieściło się w jednym z bloków mieszkalnych

sprzed stu lat, częściowo już zniszczonych (podziwiałem kreatywność mieszkańców, zaklejających kolorowym tynkiem szczyby w elewacji), wciąż jednak emanujących pewnym urokiem. Przed wejściem zgromadził się tłum ciekawskich, na ogół ekscentrycznie ubranych staruszków. Na ławce pośrodku podwórka siedziało trzech młodych Dubajczyków zujących liście porzeczeki. Patrzyli na nas obojętnie, ruszały się tylko ich zuchwy. Wokół nich wyczuwałem pustkę.

– Skąd tutaj czarni? – spytałem.

– Namnożyło się tego po osiedlach. Tu mieszkają głównie ci z Emiratów, pracują w segregacji śmieci i w porcie rzeczonym. Podobno na Gocławiu najwięcej teraz Saudyjczyków, ale sam nie wiem, nie byłem tam od lat – Przester splunął i lekko popchnął mnie do środka, obok umundurowanych krawężników, usiłujących zaprowadzić porządek pośród gapiów.

Smuga krwi zaczynała się przed wejściem do mieszkania i pewnie z jej powodu w ogóle nas wezwano. Gdyby nie wyraźny ślad przestępstwa, potrzebny byłby smród rozkładu, by zmusić do interwencji okolicznych, zafiksowanych na sobie starców. W niczym nie byli podobni do swoich altruistycznych przodków sprzed dwóch–trzech pokoleń, zaludniających dynamicznie rozwijające się polskie miasta przełomu XX i XXI wieku. Tych od dziecka uczono miłości własnej, bez końca kochali się w sobie samych i tylko w sobie. Snuli się po osiedlu, zwykle pojedynczo, podpatrując z zazdrością jedyne pary, którym udało się ze sobą wytrwać. Sycili się nawet kłótniami, nawet karczemne, małżeńskie awantury napawały ich zachwytem. Chłonęli ten obcy świat, a potem ruszali dalej, przed siebie, objając się o drzewa, przystając przy klombach kwiatów obłamanych przez śniade dzieci imigrantów, przysiadając na ławeczkach, popijając herbatę z termosów. Idąc do pracy, jeśli jeszcze mieli jakakolwiek. W dzieciństwie uczono ich przebojowości, prymatu własnych interesów nad potrzebami świata, samorozwoju, samowystarczalności. Dziś ich skóra zwiędła, a uczucia rozszczelniły się, oddając całe ciepło; pokolenia starców zamarały od środka.

W mieszkaniu buszowały już dziewczyny z wydziału techniki materialnej – obie około sześćdziesiątki, doświadczone, nieźle zakonserwowane, przerzucające się wesołymi anegdotkami. Ani na chwilę nie zamykały ust. Na początku kariery nieco mnie to irytowało, później zrozumiałem, że praca ze zwłokami sprzyja żartobliwej dystrakcji. Sekretar powoli spacerował po mieszkaniu, przyglądając się ścianom i sufitom, jakby proces poszukiwania zbrodniarza był gatunkiem literackim, tworzonym z wnętrzarskiej inspiracji. Mieszkanie było niewielkie, zbudowane wedle standardów płynnego, ubogiego postmodernizmu: duży salon z wnęką kuchenną, niegdyś śnieżnobiały, obecnie przybrudzony wieloletnimi złożami kurzu i rozbryzgami świeżej

krwi, oraz mała sypialnia z szafą. Ciało leżało na środku salonu ubrane w elegancki wyjściowy strój z imitacji jeleniego ponczo, niemal kompletne; nie było tylko sporego kawałka czaszki odłupanego przez zabójcę kilkoma uderzeniami tępego narzędzia.

– Ile on mógł mieć lat? Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt? – spytał Przester, zakładając służbowe okulary. Pod regałem na książki zauważyłem brakujący odłamek czaszki.

– Dokładnie osiemdziesiąt cztery – odpowiedziała Kategoria, starannie kopiując z biblioteczki kolejną warstwę odcisków. – Skończył cztery dni temu. Ale łuski naskórkowe zostawia jak stuletek. Życie dało mu w kość...